

FREDRIK  
BACKMAN  
ZWYCIĘZCY

PRZEŁOŻYŁA ANNA KICKA

MARGINESY

*Vinnarna*

COPYRIGHT © Fredrik Backman 2021

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Kicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2023

*Dla każdego, kto mówi za dużo i śpiewa za głośno,  
i płacze za często, i w życiu kocha coś bardziej, niż powinien.*

Wszyscy, którzy znali Benjamina Ovicha, a w szczególności my, którzy znaliśmy go na tyle dobrze, by nazywać go Benjim, w głębi serca zawsze wiedzieliśmy, że nie było mu pisane szczęśliwe zakończenie.

Mimo to oczywiście nadal robiliśmy sobie nadzieje. Boże drogi, jakież my robiliśmy sobie nadzieje. Naiwne marzenia to ostatni bastion obronny miłości, więc wciąż sobie wmawiamy, że żadne okropne tragedie nie dotkną akurat tych, których kochamy, i że to właśnie nasi bliscy unikną złego. Ze względu na nich marzymy o wiecznym życiu, supermocach i wehikule czasu. Robimy sobie nadzieje, Boże drogi, jakież my robimy sobie nadzieje.

Prawdę mówiąc, bajki o chłopcach takich jak Benji prawie nigdy nie kończą się tak, że dożywają oni sędziwego wieku. Nie są im pisane długie historie, to nie oni pogodzeni z losem umierają w domu spokojnej starości, z głową na miękkiej poduszce.

Chłopcy tacy jak Benji umierają młodo. Tragicznie.

„Nie komplikuj”. To prosta rada zarówno w hokeju, jak i w życiu. Nie komplikuj rzeczy bardziej, niż trzeba, nie myśl za wiele, najlepiej wcale. Powinno to dotyczyć również tej historii, bo dzięki temu można by ją było opowiedzieć o wiele szybciej, trwa przecież niecałe dwa tygodnie, a ile może się wydarzyć w tak krótkim czasie w dwóch hokejowych miasteczkach? Zapewne nie za wiele.

Po prostu wszystko.

Najbardziej problematyczne tak w hokeju, jak i w życiu jest mianowicie to, że nieskomplikowane chwile występują niezwykle rzadko. Wszystko inne to walka. Ta opowieść nie zaczyna się dzisiaj, toczy się już od dwóch lat, to wtedy Maya Andersson się stąd wyprowadziła. Opuściła Björnstad i w drodze na południe przejechała przez Hed. Oba te leśne miasteczka leżą po sąsiedzku, a jednocześnie tak daleko od wszystkiego innego, że była to niemalże emigracja. Któregoś dnia Maya zaśpiewa o tym, że ludzi dorastających blisko dziczy niewiele dzieli od dzikości w nich samych. Będzie to zarówno przesada, jak i niedoszacowanie, prawie zawsze mówi się o nas właśnie w taki sposób. Jeśli jednak zawitasz w te strony i jakimś cudem zawieje cię aż do baru Futro, a na dzień dobry nie dostaniesz w dziób za głupie pytanie o wiek barmanki albo o plasterek cytryny w drinku, to może stojąca za barem Ramona wyjaśni ci coś ważnego: „Tutaj, w lesie, ludzie są od siebie o wiele bardziej zależni niż w dużych miastach. Tu trzymamy się razem, czy tego chcemy, czy nie, tak mocno, że gdy jeden z nas zbyt gwałtownie obraca się we śnie, to drugiemu brakuje kołdry w innej części gminy”.

Chcesz zrozumieć to miejsce? Najpierw musisz więc zrozumieć jego kontekst, jak wszystko i wszyscy pozostają ze sobą związani niewidzialną nicią relacji, lojalności i zobowiązań: hala lodowiska i fabryka, drużyna hokejowa i politycy, miejsce w tabeli i pieniądze, sport i możliwości pracy, przyjaciele z dzieciństwa i koledzy z drużyny, sąsiedzi, współpracownicy i rodziny. To wszystko trzyma ludzi razem i pozwala im przetrwać, ale jednocześnie zmusza do nikczemnych przestępstw przeciwko sobie nawzajem. Ramona nie opowie ci wszystkiego, nikt tego nie robi, ale chcesz nas zrozumieć? Tak naprawdę? Musisz się w takim razie dowiedzieć, jak się tu znaleźliśmy.

Zimą dwa i pół roku temu Maya Andersson została zgwałcona na imprezie przez Kevina Erdahla, najlepszego hokeistę, jakiego do tamtej pory widziała ta okolica. Oczywiście nikt nie używa teraz słowa „gwałt”, raczej „skandal” lub też określeń typu: „to, co się wydarzyło” albo „to... no wiesz”. Wszyscy się wstydzą, nikt nie potrafi o tym zapomnieć. Łańcuch wydarzeń mający swój początek na tej imprezie wpłynął na polityczne decyzje i przesunął pieniądze z jednego miasta do drugiego. To z kolei doprowadziło do wypełnionych nienawiścią wiosny i lata, a następnie brutalnej zimy. Zaczęło się od zwykłej bójki w hali lodowiska, a skończyło prawie na ulicznej wojnie, w której mężczyźni w czarnych kurtkach, zwani przez policję „chuliganami”, a przez mieszkańców Björnstad po prostu „Grupą”, zaatakowali wroga z Hed, na co mężczyźni z Hed odpowiedzieli podpaleniem Futra. W pogoni za zemstą Grupa straciła w wypadku samochodowym Vidara, młodego chłopaka, którego jej członkowie uwielbiali ponad wszystko. Ta kropla przelała czarę, po latach agresji nikt już nie miał więcej siły. Vidara pochowano, dwaj mieszkańcy Hed trafili do więzienia, a pomiędzy chuliganami i miastami zapanował rozejm. Jakimś cudem udało się go dochować aż do teraz, chociaż z dnia na dzień wydawał się coraz bardziej kruchy.

Kevin wraz z rodziną się wyprowadził i nigdy już tutaj nie wróci. Nikt by się na to nie zgodził. Całe Björnstad ze wszystkich sił starało się wymazać Kevina z pamięci, a mimo że nikt się do tego nie przyznał, to wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy Maya również spakowała

walizki i się wyniosła. Wyjechała aż do samej stolicy, zaczęła naukę w szkole muzycznej i niemalże stała się całkiem innym człowiekiem. A wszyscy, którzy zostali w lesie, coraz rzadziej wspominali o „skandalu”, prawie tak, jakby się nigdy nie wydarzył.

Benji Ovich, kiedyś najlepszy przyjaciel Kevina Erdahla, również spakował walizkę. Znacznie mniejszą od bagażu Mai. Ale za to jego podróż trwała o wiele dłużej. Maya wyjechała do czegoś, on natomiast po prostu wyjechał od nich. Ona szukała odpowiedzi w jasności, Benji w ciemnościach. Maya w sztuce, a on na dnie butelki. Obydwoje niewiele tam znaleźli.

W mieście, które za sobą zostawili, klub Björnstad Hockey chylił się ku upadkowi. Tam, gdzie do tej pory wszyscy marzyli o niemożliwych wręcz rzeczach, teraz nikt już nie miał siły na jakiegokolwiek marzenia. Peter Andersson, ojciec Mai, zakończył karierę dyrektora sportowego i na dobre odpuścił hokeja. Sponsorzy puciekali, a w gminie zaczęto nawet przebąkiwać o zamknięciu całego klubu i przeniesieniu wszystkich środków oraz finansowania do Hed Hockey. Tak naprawdę klub udało się uratować w ostatnim momencie dzięki nowym pieniądзом i upartym miejscowym biznesmenom. Nowi zagraniczni właściciele fabryki dostrzegli w nim sposób na zdobycie akceptacji lokalnej społeczności, a oportunistyczny polityk Richard Theo szansę na nowych wyborców. Dzięki nim w odpowiedniej chwili zgromadzony został kapitał, który pozwolił uchronić klub od zagłady. W tym samym czasie wymieniono w nim starych członków zarządu, przeprowadzono spotkania dotyczące „marki” klubu i niedługo potem oczom świata dumnie przedstawiono całkowicie nową „deklarację wartości”. Rozesłano ulotki z hasłem: „Sponsoring Björnstad Hockey jest nie tylko m o ż l i w y, ale również w ł a ś c i w y!”. I wbrew wszelkim przeciwnościom losu udało się to wszystko odwrócić, najpierw na lodzie, a później i poza nim. Elisabeth Zackell, trenerka z Björnstad, starała się o pracę w większym klubie, ale jej nie dostała, zamiast niej stanowisko objął trener Hed, który natychmiast opuścił miasto, zabierając ze sobą najlepszych graczy. Hed zostało nagle bez przywódcy i podobnie jak inne kluby

postawione w takiej sytuacji, szybko zakopało się w intrygach i walce o władzę. W tym samym czasie Zackell budowała w Björnstad nową drużynę, młodego mężczyznę o imieniu Bobo uczyniła trenerem pomocniczym, a na czele bandy rozrabiaków na lodzie postawiła szesnastoletniego Amata. Amat ma teraz osiemnaście lat i bez wątpienia jest największą gwiazdą hokeja, jaką widziała ta okolica, z tak ogromnym talentem, że całą ostatnią zimę plotkowano o tym, że wkrótce zostanie zdraftowany do NHL i będzie grał zawodowo w Ameryce Północnej. Zawodnik dominował w każdym meczu ostatniego sezonu, aż do wiosny, kiedy to nabawił się kontuzji. Całe miasto było przekonane, że gdyby nie to, Björnstad wygrałoby całą serię i awansowało do wyższej ligi. A gdyby w tym samym czasie jakimś cudem Hed nie udało się zdobyć punktów w ostatnich meczach, to spadliby na sam dół tabeli i tym samym do niższej ligi.

Tak więc wszystko, co jeszcze dwa lata temu, gdy Maya i Benji stąd wyjechali, wydawało się kompletnie niemożliwe, teraz nagle stało się tylko kwestią czasu: zielone miasto pnie się w górę, podczas gdy czerwone spada. Każdego miesiąca do Björnstad przybywa więcej sponsorów, a do Hed coraz mniej, hala lodowiska w Björnstad została wyremontowana, a dach w Hed prawie się wali. Najwięksi pracodawcy w Björnstad, fabryka i sklep spożywczy, zatrudniają nowych pracowników. Największy pracodawca w Hed, czyli szpital, rok do roku obcina etaty. To w Björnstad są teraz pieniądze, to tu jest praca, to my jesteśmy zwycięzcami.

Chcesz to zrozumieć? Musisz w takim razie wiedzieć, że tutaj chodzi o coś więcej niż tylko punkt na mapie. Z góry możemy wyglądać jak dwa zwykłe leśne miasteczka, w oczach niektórych praktycznie wsie. Jedyne, co nas oddziela, to kręta droga między drzewami. Nie wygląda nawet na specjalnie długą, ale może się okazać, że zafundujesz sobie porządny spacer, jeśli postanowisz ruszyć nią w minusowej temperaturze i pod wiatr, bo tutaj nie mamy innej temperatury ani innych wiatrów. Nienawidzimy Hed, a oni nienawidzą nas. Jeśli przez cały sezon wygramy wszystkie mecze, ale na końcu polegniemy z nimi, to mamy poczucie przegranego roku. Nie wystarczy, że nam

się powodzi, prawdziwe zadowolenie odczuwamy dopiero, gdy im się nie wie. Björnstad gra w zielonych koszulkach z niedźwiedziem, a Hed w czerwonych z bykiem, brzmi to całkiem prosto, ale kolory nie powiedzą nam, gdzie kończy się jakiś problem dotyczący hokeja, a zaczynają pozostałe. W Björnstad nie ma ani jednego płotu pomalowanego na czerwono, a w Hed ani jednego w kolorze zielonym, bez względu na to, czy jego właściciel interesuje się hokejem czy nie, nikt więc do końca nie wie, czy kluby wzięły swoje kolory z płotów czy wręcz na odwrót. Czy to nienawiść stworzyła kluby, czy też kluby nienawiść? Chcesz zrozumieć hokejowe miasteczka? Musisz zatem wiedzieć, że tutaj sport znaczy o wiele więcej niż tylko sport.

Chcesz zrozumieć tych ludzi? Tak naprawdę zrozumieć? Musisz też w takim razie wiedzieć, że za chwilę nadejdzie okropna katastrofa naturalna, która zniszczy to, co kochamy. Może i mieszkamy w hokejowych miastach, ale przede wszystkim jesteśmy ludźmi lasu. Otoczeni drzewami, skałami i ziemią, które przez tysiące lat widziały, jak rodzą się i zanikają gatunki. Może i udajemy, że jesteśmy wielcy i silni, ale z ziemią nie wygramy. Któregoś dnia zacznie wiać, a następującej po nim nocy będziemy mieć wrażenie, że już nigdy nie przestanie.

Za jakiś czas Maya zaśpiewa pieśni o nas i dziczy bliskiej nam zarówno na zewnątrz, jak i w środku. Zaśpiewa o tym, że miejsce jej dorastania definiują tragedie, te, których doświadczyliśmy, i te, których byliśmy sprawcami. Zaśpiewa o jesieni, w której las z pełną siłą obróci się przeciwko nam. Zaśpiewa o tym, że wszystkie społeczności są sumą własnych wyborów i że to, co koniec końców trzyma nas razem, to nasze historie. Zaśpiewa:

*Wszystko zaczęło się od wichury.*

Najgorszej w tej okolicy od co najmniej pokolenia. Może i mówimy tak o każdej wichurze, ale ta była nieporównywalna z żadną inną. Przebąkiwano, że w tym roku śnieg przyjdzie pewnie później, ale wiatr nadciągnął szybciej. Sierpień zakończył się złowróżbną falą

gorąca, lecz zaraz potem, na przełomie miesięcy, jesień jednym kopnięciem wyważyła drzwi i temperatury spadły.

Przyroda wokół nas staje się nieobliczalna i agresywna, psy i myśliwi wyczuwają to jako pierwsi, niedługo po nich cała reszta. Dostrzegamy sygnały ostrzegawcze, mimo to wichura przychodzi z taką siłą, że pozbawia nas powietrza w płucach. Siecze las z korzeniami, gasi niebo, rzuca się na nasze domy i miasta niczym dorosły mężczyzna bijący dziecko. Prastare pnie drzew się uginają, do tej pory niewzruszone niczym skały, nagle pod stopą przypominają źdźbła trawy, wiatr dudni w uszach tak głośno, że nie słysząc, gdy któreś z nich zawala się obok nas. W mieście wśród budynków kawałki blachy i dachówki odrywają się i niosą ciężko z wiatrem, wyostrzone pociski polujące na każdego, kto za wszelką cenę próbuje się schronić w domu. Las zawala drogi, aż w końcu nie da się ani stąd wyjechać, ani tu dostać, przerwa w dostawie prądu oślepia miasta w nocy, telefony komórkowe działają tylko w niektórych miejscach. Wszyscy, którym udaje się dodzwonić do kogoś bliskiego, wykrzykują w słuchawkę tę samą wiadomość: „Zostań w domu, zostań w domu!”.

Ale jeden młody panicznie wystraszony mężczyzna z Björnstad pędzi swoim niewielkim samochodem po wąskich drogach do szpitala w Hed. Nie miał odwagi opuszczać domu, ale bał się również w nim zostać, jego ciężarna żona siedzi obok niego i nadszedł już jej czas, z wichurą czy bez niej. Kierowca modli się do Boga niczym ateści w okopach, żona wydaje z siebie okrzyk, gdy nagle drzewo przed nimi łamie się i bezlitośnie uderza w maskę samochodu. Blacha ugina się tak mocno, że kobietę aż rzuca na przednią szybę. Nikt ich nie słyszy.

Chcesz zrozumieć ludzi mieszkających w dwóch hokejowych miasteczkach? Tak naprawdę zrozumieć? Musisz w takim razie wiedzieć o wszystkich najgorszych rzeczach, do których jesteśmy zdolni.

---

Nad domami na obrzeżach Hed nie wieje, ale dudni. Fasady pękają, podłogi wibrują tak mocno, że czerwone bluzy Hed Hockey i proporczyki rozwieszane w pomieszczeniach się kołyszą. Czwórka dzieci znajdująca się właśnie w domu opowie później, że miały wrażenie, jakby wszechświat próbował je zabić. Tess jest najstarsza, ma siedemnaście lat, potem piętnastoletni Tobias, trzynastoletni Ted i Ture, siedmiolatek. Boją się, jak wszystkie dzieci, lecz nie śpią, przygotowane na każdą ewentualność, bo mimo wszystko nie są jak wszystkie dzieci. Ich mama pracuje jako położna, a tata jako strażak, czasem wydaje się wręcz, że sytuacje kryzysowe to jedyne chwile, w których ich rodzina naprawdę funkcjonuje. Gdy tylko do nich dotarło, co wkrótce się wydarzy, dzieciaki wybiegły na ogród, by poskładać meble ogrodowe, huśtawki i ścianki do wspinaczki, żeby podczas wichury, zniesione przez wiatr, nie uderzyły w jakieś okno. Tata Johnny pobiegł pomóc w ogrodzie kilka domów dalej. Mama Hannah zadzwoniła do wszystkich znajomych z zapytaniem, czy czegoś nie potrzebują. Odbyła wiele rozmów, bo znają tu wszystkich, urodzili się i wychowali w Hed, a teraz, gdy jedno pracuje w straży pożarnej, a drugie w szpitalu, nie ma chyba w okolicy nikogo, kto ich nie zna. To ich miasto, ich dzieci uczyły się jeździć na rowerze na tych samych przydomowych uliczkach co oni sami i wychowywane są według prostych zasad: Kochaj rodzinę, pracuj ciężko, ciesz

się, gdy Hed Hockey wygrywa mecz, i ciesz się jeszcze bardziej, gdy Björnstad Hockey dostaje baty. Pomagaj tym, którzy potrzebują pomocy, bądź dobrym sąsiadem i nigdy nie zapominaj, skąd pochodzisz. Tego ostatniego rodzice uczą nie poprzez słowa, ale czyny. Pokazują im, że można się sprzeczać o wszystko, lecz gdy sprawa jest naprawdę poważna, to trzeba się trzymać razem, bo samemu nie ma się żadnych szans.

Wichura za oknem wywołała kolejną, już w domu, rodzice znów się pokłócili, i to porządnie. Hannah to drobna i szczupła kobieta. Stoi teraz w oknie kuchennym i zagryza policzek, rozmasowując siniaki. Poślubiła idiotę. Johnny jest wysoki i barczysty, ma gęstą brodę i ciężką pięść. Jeszcze jako hokeista znany był z tego, że gotowy do walki pierwszy zrzucił rękawice, szalony byk z logo Hed Hockey równie dobrze mógł być jego karykaturą. Jest porywczy i uparty, staromodny i pełen przesądów, to jeden z tych stereotypowych zaczepnych licealistów, którzy nigdy do końca nie dorośli. Grał w hokeja tak długo, jak się dało, a potem został strażakiem, zamienił jedną szatnię na drugą, nadal konkurując we wszystkim: kto wycisnie najwięcej na ławeczce, kto pobiegnie najszybciej w lesie, kto wleje w siebie najwięcej piwa na grillu. Od pierwszego dnia związku Hannah zdawała sobie sprawę z tego, że to, co w Johnnym takie czarujące, może też pewnego dnia stać się niebezpieczne, słabi przegrywający mogą być agresywni, a pełen pasji temperament doprowadzić do przemocy. „Długi lont, ale dużo prochu to najniebezpieczniejsza kombinacja”, zwykł mawiać jej teść. W korytarzu stoi wazon, dawno temu rozbity na drobne kawałki, a następnie starannie skleiony, tak by Hannah już nigdy nie zapomniała.

Johnny wraca z ogrodu. Patrzy na nią ukradkiem, sprawdzając, czy nadal jest wzburzona. Kłótnie zawsze kończą się w ten sposób, bo wyszła za idiotę, który nigdy nie słucha. I zawsze coś się tłucze.

Hannah często rozmyśla o tym, że jej mąż pozwala wszystkim myśleć, że jest twardzielem, ale w rzeczywistości to niezwykle wrażliwy i łatwy do urażenia człowiek. Jeśli Hed Hockey dostaje baty, to tak jakby on sam oberwał. Kiedy wiosną zeszłego roku w lokalnej

gazecie napisano, że „Björnstad Hockey reprezentuje nowoczesność, podczas gdy Hed Hockey symbolizuje to, co przestarzałe”, wzięła sobie to do serca tak mocno, jak gdyby napisano co najmniej, że cała jego rodzina i wszystkie wartości w życiu były niewłaściwe. Klub to miasto, a miasto to jego rodzina. Jego lojalność jest nie do podważenia i zmusza go zawsze do tego, co najbardziej ekstremalne. Zawsze gra ostro, nigdy się nie boi, zawsze pierwszy biegnie do każdej katastrofy.

Kilka lat temu w całym kraju płonęły lasy. Ani Hed, ani Björnstad specjalnie nie ucierpiały, ale parę godzin jazdy stąd było naprawdę niebezpiecznie. Johnny, Hannah i dzieciaki spędzali wtedy, pierwszy raz od dawna, wspólnie wakacje, jechali właśnie do parku wodnego na południu. W radiu usłyszeli wiadomość o pożarach. Kłótnia zaczęła się, jeszcze zanim zadzwonił telefon, bo Hannah dobrze wiedziała, że gdy zadzwonią, Johnny natychmiast zawróci. Dzieci kuliły się na tylnych siedzeniach minibusu, bo już to wcześniej widziały: tę samą kłótnię, te same krzyki, te same zaciśnięte pięści. Wyszła za idiotę.

Każdego dnia walki Johnny'ego z pożarami lasów w telewizyjnych wiadomościach przedstawiano coraz to straszniejsze obrazy, każdego wieczoru, mimo że dzieci zasypiały z płaczem, Hannah udawała, że wcale się nie niepokoi, każdej nocy załamywała się w samotności przy kuchennym stole. W końcu wrócił, gdzieś tak po tygodniu, chociaż mieli wrażenie, że nie było go rok. Wychudzony i tak brudny, że zdawało się, że nigdy do końca nie będzie w stanie zetrzeć tego brudu ze skóry. Hannah stała w kuchni i dostrzegła go, jak wysiada z samochodu kawałek od domu, na skrzyżowaniu, i ostatnie kroki przemierza pieszo, człapiąc, tak jakby zaraz miał się rozsypać i zamienić w wielką stertę kurzu. Rzuciła się w stronę kuchennych drzwi, dzieci też już go zauważyły, zbiegły więc pędem ze schodów, przeciskając się koło niej i potykając jedno o drugie, a potem na zewnątrz. Hannah przystanąła przy oknie, obserwując, jak rzucają się Johnny'emu w ramiona, aż na końcu cała czwórka wisiała na nim jak małpki: Tobias i Ted wokół szyi, Tess na plecach, a mały Ture

w ramionach. Ojciec był cały ubabrany, spocony i wyczerpany, ale podniósł wszystkie dzieci i wniósł je do domu, jakby ważyły tyle co piórko. W nocy spał na materacu koło łóżka Turego, skończyło się na tym, że pozostałe rodzeństwo również przytargało tam swoje legowiska. Hannah odzyskała Johnny'ego dopiero po czterech nocach. Dopiero wtedy poczuła jego ramiona i w spokoju mogła zasnąć, oddychając w jego koszulkę. Ostatniego ranka była już tak zazdrosna o dzieci, tak zła na samą siebie i zmęczona wstrzymywaniem własnych uczuć, że rzuciła tym cholernym wazonem o podłogę.

Skleiała go potem starannie, a nikt w rodzinie nie odważył się do niej odezwać, dopóki nie skończyła. Mąż usiadł później przy niej na podłodze i jak zwykle szeptał: „Nie bądź na mnie zła, nie zniosę tego, jeśli będziesz na mnie zła”. Czuła, że struny głosowe łąmia się jej w gardle, gdy wyrzuciła z siebie: „To nawet nie był twój pożar, to nawet nie TU się paliło!”. Johnny pochylał się ostrożnie, czuła jego oddech na dłoniach, gdy je całował. „Wszystkie pożary to moje pożary”. Jakżeż ona nienawidziła tego idioty i jednocześnie go uwielbiała. „Twoim zadaniem jest wracać do domu. Twoim jedynym zadaniem jest wracać do domu”, przypomniała mu, na co on odpowiedział z uśmiechem na twarzy: „No przecież jestem”. Z całej siły uderzyła go w ramię. Spotkała w życiu wielu idiotów, którzy wmawiali sobie, że jako pierwsi pobiegliby w ogień, by ratować innych, ale jej idiota jest takim idiotą, który naprawdę to zrobi. Kłóć się więc o to samo za każdym razem, gdy Johnny jedzie do pożaru, ponieważ za każdym razem Hannah jest tak samo zła na siebie, że się o niego boi. I zawsze kończy się tym, że coś rozbija lub tłucze. Wtedy był to wazon, tym razem padło na jej własne kostki dłoni. Gdy zaczęła się wichura i Johnny, by być w gotowości, natychmiast podładował telefon, uderzyła pięścią w zlew. Teraz rozmasowuje siniaka i klnie. Chce, żeby jechał, ale jednocześnie tego nienawidzi, i w taki właśnie sposób daje o tym znać.

Johnny wchodzi do kuchni, Hannah czuje jego zarost na karku. Zgrywa twardziela, ale w rzeczywistości jest najwrażliwszy z nich wszystkich, to właśnie dlatego nigdy jej nie odkrzykuje. Wichura

uderza w okna i oboje dobrze wiedzą, że telefon zaraz zadzwoni i że Johnny będzie musiał jechać, a ona znów wpadnie w złość. „Martw się dopiero wtedy, jak przestanie się złościć, bo to będzie znaczyć, że już cię nie kocha”, powiedział Johnny’emu ojciec zaraz po tym, jak on i Hannah się pobrali. „Długi lont i dużo prochu w tej kobiecie, lepiej uważaj!”, dodał, uśmiechając się.

Hannah być może poślubiła idiotę, ale sama też, do cholery, jest zdrowo walnięta. Jej poczucie humoru potrafi doprowadzić Johnny’ego do granic wytrzymałości, a chaos, który wokół niej panuje, jest nie do zniesienia. On sam wpada w panikę, gdy rzeczy nie leżą na swoim miejscu i nie ma pewności, gdzie wszystko się znajduje, dotyczy to zarówno wozu strażackiego, jak i szaf i kuchennych szafek, a ożenił się z osobą, która nie uważa, że powinno się mieć swoją wyznaczoną stronę łóżka. Hannah kładzie się jednego wieczoru po jednej stronie, drugiego po drugiej, jak popadnie, a on nie wie nawet, od czego ma zacząć się wkurzać. Pokażcie mi kogoś, kto nie ma swojej strony w łó ż k u. Poza tym chodzi po domu w butach i nie splukuje za sobą umywalki, i wciąż przekłada noże do masła i do sera, tak że każde śniadanie to jakaś cholerna wyprawa w poszukiwaniu skarbów. Jego żona jest gorsza nawet od dzieci.

Teraz jednak podnosi dłoń i gładzi go po brodzie, a on obejmuje ją ciasno i nic innego się nie liczy. Nauczyli się już siebie nawzajem. Hannah zaakceptowała, że życie ze strażakiem ma rytm, którego inni ludzie nigdy nie rozumieją. Nauczyła się na przykład sikać w ciemności, bo na początku, gdy ze sobą zamieszkali, a ona zapalała światło w środku nocy, Johnny się budził, myśląc, że to lampka alarmowa na stacji. Zrywał się z łóżka w półśnie, ubierał się i biegł do samochodu, zanim ona w samych majtkach zdążyła go dogonić, zastanawiając się, co, do jasnej cholery, wyczynia jej mąż. Minęło kilka chaotycznych nocy, nim zrozumiała, że Johnny już nigdy nie oduczy się tego zachowania i że w głębi duszy ona sama też by sobie tego nie życzyła.

To właśnie taki facet, który biegnie w ogień. Bez wahania, bez zbędnych pytań, po prostu biegnie. Takich jak on jest niewielu, ale gdy się ich zobaczy, od razu wiadomo, że to oni.

---

Ana ma osiemnaście lat. Wygląda przez okno w domu ojca na obrzeżach Björnstad. Lekko kuleje, bo niechcący uszkodziła sobie kolano na treningu sztuk walki, po tym, jak jakiś równolatek powiedział, że dziewczyny nie potrafią porządnie kopać. Skopała mu więc żebra i dołożyła jeszcze z kolana w głowę, ale niestety, jego czaszka – mimo że pusta – nadal była dość twarda, dlatego teraz kuleje. Jej ruchy są zawsze szybkie niczym błyskawica, nie to co ocena sytuacji, niezbyt dobrze rozumie ludzi, ale za to świetnie potrafi odczytywać przyrodę. Teraz widzi, jak za oknem poruszają się drzewa, już rankiem zwróciła na to uwagę, na długo przed innymi wiedziała, że nadejdzie wichura. Dzieci dobrych myśliwych uczą się wyczuwać takie rzeczy, a w okolicy nie ma lepszego myśliwego niż jej ojciec. Ten człowiek spędził w lesie tyle czasu, że niekiedy zapomina o tym, że telefon to nie myśliwskie walkie-talkie, i gdy ktoś do niego dzwoni, na końcu każdej wypowiedzi dorzuca „odbiór”. Ana uczyła się w lesie raczkować, a potem chodzić, bo to był jedyny sposób, by spędzać czas z tatą. Las był jej placem zabaw i szkołą, ojciec nauczył ją wszystkiego o dzikich zwierzętach i niewidzialnych siłach drzemających w ziemi i powietrzu. To była jego metoda na okazywanie jej miłości. Gdy była mała, pokazywał jej, jak się tropi i strzela, gdy była starsza, zabierał ją na zleczone przez gminę poszukiwania potrąconej w wypadkach dzikiej zwierzyny. Życie w lesie uczy nie tylko tego, jak należy chronić przyrodę, ale również jak ona może chronić człowieka. Koniec końców poza tym, że wypatruje się tego samego co rośliny: wiosny i słońca, obawia się także podobnych rzeczy: oczywiście ognia, ale jeszcze bardziej wiatru. Bo jego nie da się zatrzymać ani ugasić. Wiatr nie zboczy z kursu przed jakimś pnem czy skórą, po prostu zniszczy, połamie i uśmierci, co tylko zechce.

Ana słyszała niepogodę w czubkach drzew i przeczuwała ją w piersi, gdy jeszcze wszędzie było spokojnie i cicho. Nalała wody do wszystkich koszy i wiader, przyniosła z piwnicy kuchenkę gazową i wymieniła baterie w latarkach czołowych, przygotowała świece

i zapałki. Na koniec jak w transie narąbała drewna i przyniosła je do pokoju dziennego. Teraz, gdy wichura nadciąga już nad Björnstad, zamyka wszystkie okna i drzwi i tłukąc się na całą kuchnię, zmywa naczynia w rytm ulubionej piosenki Mai puszczanej z wieży stereo. Głos przyjaciółki ją uspokaja, a najzwyczajsze na świecie kuchenne odgłosy uspokajają jej psy. To one ją chroniły, gdy była dzieckiem, teraz jest na odwrót. Jeśli zapytasz Mayę, kim jest jej przyjaciółka, odpowie: „Wojownikiem”. Nie mówi tego jednak dlatego, że Ana może pokonać w walce każdego, ale przede wszystkim dlatego, że życie już nie raz próbowało pokonać Anę i nigdy nie dało rady. Ana jest nie do pokonania.

Chodzi do ostatniej klasy liceum w Björnstad, lecz już od dawna jest dorosła, córki rodziców ukrywających się na dnie butelek dorastają szybciej. Gdy była mała, tata nauczył ją pilnować ognia w kominiku, w odpowiednim momencie dokładać kilka dodatkowych szczap, tak by płomień nigdy nie zgasł. Teraz, w gorszych okresach, czasem dniach, a czasem miesiącach, w ten sam sposób podsyca swoje upojenie. Nigdy nie jest nieprzyjemny ani nawet głośny, po prostu nigdy nie jest do końca trzeźwy. Prześpi całą burzę, pochrapując na krześle w pokoju dziennym, otoczony pucharami zdobytymi przez Anę, z których jest tak dumny, i jej zdjęciami z dzieciństwa, z których pieczołowicie wyciął głowę matki Any. Zbyt pijany, by usłyszeć dzwoniący telefon. Ana zmywa i pogłośnia muzykę w kuchni, psy leżą u jej stóp, one też nic nie słyszą. A telefon dzwoni i dzwoni.

W końcu, zamiast tego, ktoś dzwoni do drzwi.

---

„Nic się nie dzieje, to tylko wiatr”, szepcze Johnny. Hannah bardzo chce w to wierzyć. Tym razem nie będą gasić pożarów, jej mąż wraz z pozostałymi strażakami chwycą za piły elektryczne i pójdą oczyszczać drogi z połamanych drzew, tak aby inne służby ratunkowe i opieka domowa osób starszych mogły się przedostać. Zawód strażaka w tych okolicach w dziewięćdziesięciu procentach oznacza pracę

drwała w lesie, zwykł pohukiwać Johnny, ale Hannah doskonale wie, że jest z tego dumny. Należy przecież do tego lasu.

Odwraca się do niego przodem, staje na palcach i gryzie go w policzek, tak że aż uginają się pod nim kolana. Jest największy i najsilniejszy w prawie każdym pomieszczeniu, do którego wchodzi, ale bez względu na to, co myślą inni, wie, że jeśli dzieci znalazłyby się po drugiej stronie ściany ognia, to Hannah pobiegłaby tam po nie szybciej niż on sam. Jest skomplikowana, wybuchowa i pyskata, i, wiercie mi, niełatwo jej dogodzić, ale Johnny kocha ją najbardziej na świecie za jej całkowicie bezkompromisowy instynkt obronny. „Pomagamy tym, którym możemy”, szepcze mu zawsze do ucha po najgorszych dniach, gdy on straci kogoś w pracy albo ona u siebie. Strażak musi być przygotowany na oglądanie śmierci na każdym etapie życia, ona jednak pracuje jako położna, zwykle widzi ją więc w tym pierwszym: w pierwszych sekundach życia. Wypowiadane przez nią słowa mają nie tylko przynieść ukojenie, ale również przypominać im o ich obowiązku. Pomagamy, jeśli możemy, kiedy możemy i tym, którym możemy. Taki rodzaj pracy, ale też taki typ człowieka.

Wolno wypuszcza ją z objęć, nigdy nie przyzwyczai się do tego, że ta niechlujna awanturka wciąż potrafi tak na niego podziałać. Idzie sprawdzić, czy jego telefon się ładuje, Hannah długo za nim patrzy, nigdy się nie przyzwyczai, że nawet po dwudziestu latach, gdy ten marudny pedant rzuca jej tylko jedno spojrzenie, ma ochotę zerwać z niego całe ubranie.

Z korytarza dobiega dźwięk telefonu. Już czas. Zamyka oczy, klnie i obiecuje sobie, że nie będzie się już kłócić. Johnny nigdy jej nie mówi, że wróci do domu bez szwanku, bo to przynosi nieszczęście. Powtarza tylko, że ją kocha, raz za razem, aż ona w końcu mu odpowiada: „Masz szczęście”. Telefon dzwoni nieprzerwanie, Hannah przychodzi do głowy, że mąż jest pewnie w toalecie i dlatego nie odbiera, więc krzyczy na niego, bo szyby w oknach tłuką się niemiłosiernie od wiatru. Dzieci już czekają ustawione w szeregu na schodach, by pożegnać się z ojcem. Tess trzyma ręce na plecach trzech braci: Tobiasa, Teda i Turego. Tata uważał, że to głupie, że wszyscy

mają mieć imiona na tę samą literę, ale dogadał się z mamą, że to ona wybiera imiona dla dzieci, a on dla psów. Jakoś nigdy nie sprawili sobie psa. Hannah zawsze była lepszym negocjatorem.

Ture popłakuje w sweter Tess, nikt z rodzeństwa nie nakazuje mu przestać. Sami płakali, gdy byli mniejsi, bo w rodzinie nie ma się strażaka, to tak nie działa, cała rodzina nagle się nim staje. Nie mają tego komfortu, że mogą powiedzieć: „To się nam nie przydarzy”, wiedzą, że tak może być. Rodzice ustanowili więc bardzo prostą zasadę: nigdy nie wystawiają się razem na niebezpieczeństwo. Dzieci zawsze muszą mieć jednego rodzica, gdyby drugiemu nagle coś się stało.

Johnny stoi w korytarzu i coraz głośniejsze mówi do telefonu, w końcu wręcz krzyczy, ale po drugiej stronie nikogo nie ma. Być może wcisnął zły guzik, sprawdza więc listę połączeń, ale okazuje się, że odkąd przed dziesięcioma minutami skończył rozmowę z własną matką, nikt do niego nie dzwonił. Mija kolejnych kilka dźwięków, zanim dociera do niego, że to nie jego telefon, tylko jej. Hannah podnosi go zdezorientowana, wpatruje się w numer i słyszy głos przełożonego po drugiej stronie słuchawki. Trzydzieści sekund później wybiega z domu.

Chcesz zrozumieć ludzi? Tak naprawdę zrozumieć? To musisz wiedzieć, do czego najlepszego są w życiu zdolni.